

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 12 września 1914 roku

№ 32—37.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

31

Powieść z obcego życia.

Ów głos powtarzał jej to uporczywie po parę razy na dzień, szeptał groźnie i ostrzegał, po nocy straszył ją okropnymi snami. Okręt przerażał ją, na morze nie mogła patrzeć. Wciśnięta w kąt kajuty siedziała wystraszona, jak schwytyany ptaszek. Wolałaby wszystko naigorsze, niż być na okręcie. Najgorsze—byłby to przytułek, gdzie musiałyby obierać kartoile od rana do nocy, a straszne jakieś zakonnice byłyby ją różgami. Ale niechby już lepiej przytułek...

Najbardziejzie rozniewało mamę, kiedy widocznie wygadała się, że to widocznie ma być kara za jej grzechy.

— Jakie grzechy? Co ty mała, możesz wiedzieć o jakichś grzechach? Największy grzech jest matki nie słuchać.

— To widać mamusia ma jakiś duży grzech.

— Przekłete jest dziecko, które tak się odzywa o rodzonej matce. To moim grzechem jest, że się poświęciłam dla twojego dobra? Ja chce, żebyś była bogatą! Nie robisz nic gorszego od innych „cudownych dzieci”, które koncertują na skrzypcach i na fortepianach od siódmego roku życia i pracują na swoich rodziców. Chcesz, żeby bracia pozdychali z głodu?

— Ach, nie. Ale to już chyba zgrzeszył sam pan Van Joerg i za niego zginiemy wszyscy.

— Styszane rzeczy! Pan Van Joerg, który jest dla ciebie zawsze tak strasznie dobry! Jesteś zła i niewdzięczna! Czego ci brak?

Nie nie zdołało przekonać strapieniej dziewczynki. Nie wychodziła zupełnie na balkon, otaczający ich pokój, a kiedy przypadkiem spoglądała w okno, wzdrygała się.

Ocean był spokojny, pogoda piękna. Drobne fale mieniły się, mi-

gocąc w słońcu, mowy ubiegały się za statkiem.

Rzeźwy chłód, przeczyste, jędrne powietrze, nieogarniona przestrzeń oceanu, oderwanie od ziemi i od powszedniego dnia, który zda się urwał się z chwilą podniesienia kotwicy, a zaczęło się dopiero kiedyś, gdy się ukaże tamten brzeg — nadawały tymczasowemu życiu podróży osobliwe piętno.

Były to dni wypoczynku, zabawy, miłego na coś czekania. Nawet nuda długiej podróży zdawała się miłą, bo na ten czas, za jakąś tajemną umową, uległy zawieszeniu wszelkie troski i zamiary. Nawet myśli stawały się leniwe i jakby senne. Zaimowano się głównie pogodą, chciwie, jak największą osobliwość, witano przesuwające się w dali statki, karmiono żarłoczne mowy. Jedzono i pito o wiele lepiej, niż zazwyczaj. Wysypiali się za wszystkie czasy nawet ci, co nigdy nie potrzebowali sobie ujmować snu, próżnowali z rozkoszą wszyscy, najbardziej zaś tacy, którzy nie pracowali nigdy, a których na czas podróży jakgdyby zwolniono od wiecznego ucisku nudy.

Wśród podróży pierwszej i drugiej klasy wrzało świąteczne, podniecone życie. Wymyślano sobie najprzeróżniejsze zabawy, uprawiano na pokładzie sporty i gry.

Wieczorem odbywały się tańce. Na poczekaniu zawierały się znajomości. Mnóstwo dzieci czyniło przez cały dzień wrzawę i zamęt. Flirtowano gorliwie, niż na stałym lądzie. Co chwila odzywał się gardłowy okrzyk lub śmiech amerykańek. Kawiarnia pokładowa i bar były pełne od rana do nocy. Tu, w środowisku ludzi zamożnych i dostatnich działo się najweselej. Ogniskowało się tutaj prawdziwe życie „pływającego miasta”.

W „górnym” sferach, które zajmowały apartamenty u szczytu kolosalnej budowli „Atlantica” było pusto i nudnawo. Każdy siedział u siebie, nie stykając się z nieznanymi sąsiadami. Wielopiętrowa nadbudowa parowca żyła jak olbrzymi hotel, który dla fantazyj wyjątkowo uprzywilejowanych podróży, osadzono na okręcie i przewożono z Londynu lub Paryża na tamten brzeg oceanu wraz z gośćmi ze służbą, z całą jego atmosferą, z Hall'em w którym stały palmy i w swoich godzinach grywał kwartet, z osobną biblioteką i czytelnia, ze wszystkimi niezbędnymi i zbytecznymi akcesoryami komfortu.

Snuło się tu bezustanku mnóstwo służby okrętowej i prywatnej, ale sami państwo rzadko ukazywali się na szerokich kruzgankach, otaczających ich mieszkania.

Biały pałac, nad którym, jak cztery wieże panowały pochyłe białoczerwone kominy, zdawał się wydłużony i pusty.

Jednak wszystkie numery były zajęte. Początek marca, koniec sezonu ściał z powrotem z Europy cały wielki świat.

Tom Shurman już pracował systematycznie wraz z paru zaufanymi szefami, których przywołał do siebie jeszcze w Paryżu. Zaledwie zameldowali się po przybyciu, oznajmił im, że nazajutrz, via Londyn ruszają z powrotem. Na ludziach tych polegał w zupełności, jednak ponieważ w grę wchodziły sprawy niezmiernej wagi, wymagające bezwzględnej tajemnicy, wołał oznajmić im swoją wolę i wydać odpowiednie rozporządzenia na pełnym morzu, kiedy będą odcięci od świata a nawet, dzięki pewnemu porozumieniu z kapitanem statku — i od okrętowej stacyi telegrafu bez drutu na wypadek, gdyby któryś z wierzynych i wypróbowanych pomocników uległ pokusie i sprzedał się komuś, komu pod groźbą ruiny zależało na pewnych informacjach. Zdumienie Ameryka, jak tylko postawił nogę na lądzie.

Mistress Shurman nie brała udziału w tych naradach, ale mała nie miała już przed nią tajemnic. Wszystko poszło między nimi zdumiewająco szybko. Było to nieprawdopodobnie gładkie przejście od śmiertelnej wojny do wieczystego sojuszu. Shurman już się temu nie dziwił. Po prostu, spotkał kogoś jeszcze mocniejszego od siebie. Ponieważ nie miał żadnego sposobu obrony — pogodził się z wrogiem mocą bardzo ryzykownego narazie układu. Ale dość było kilku dni wspólnego pożycia, ażeby Shurman przestał knuć w głębi swej ciasnej duszy jakiegokolwiek zbrodnicze zamiary, mające na celu pozbycie się małżonki.

Urok potęgi, bijący od tej kobiety, odurzenie dokonanego faktu (pobrali się w dwa tygodnie po stanowczej rozprawie) i niewysłowiony, specjalny takt, z jakim nowa żona zaczęła grać swoją najosobliwszą na świecie rolę, dokonały przewrotu w ponury, nikomu i w nic niewierzącym człowieku.

Stało się to szybko, niewiadomo kiedy i jak, ale obecnie żyli już ze sobą, jak mąż z żoną.

Po tygodniu Shurman spostrzegł, że nie jest na świecie samotny. Uczuł, że jest dwakroć mocniejszy, niż był. Po paru rozmowach już się nie mógł pohamować i wyszedł z obronnej pozycji. Przenikliwy, bezwzględny, jasny rozum żony podbił go, jak najdowabniejsza uroda.

Shurman uwielbiał siłę i rozum. Mistress Briggs osobiście układała telegram, którym ojciec oznajmiał synowi o zamierzonym małżeństwie. Shurman, który wówczas jeszcze nie poniachał był pewnych ciemnych planów — zdumiał się nad przewrotnym geniuszem tej kobiety i w głębi duszy oddał jej hold.

Harry zasypywał ich serdecznościami, telegramy jego były pełne entuzjazmu dla nowej matki, w której czcił opiekunkę Jenny. Wypisywał dziwy o „ukojeniu cienia nieboszczki, który z wysoka patrzy na zgodę obu stron tak cudownie zawarta“ i t. p.

Zrzadka przemycakały się jeszcze ostatnie momenty zdumienia, kiedy Shurmanowi zdawało się, że to wszystko sen. Jeszcze rzadziej targał jakby przykry niepokój i coś, jak strach przed widmem, które już nie istniało na tym świecie.

W głębi „Atlantic’a“ na samem dnie spoczywała skrzynia z trumną ze zwłokami Jenny. Ale od czasu pamiętnej rozprawy nie mówił ani razu o zmarłej. I wiedzieli oboje, że przez całe długie życie nie będą ze sobą o tem mówili.

Mistress Shurman z namiętą chciwością słuchała wszystkiego, co mąż opowiadał jej o swoich planach. Porywał ją ogrom tych spraw. Wszystkie jej siły rwały się do wielkiej pracy i do swojego udziału we władaniu światem. Nasycona została i ukoila się jej duma. Wiedziała,

Od Redakcyi. Sprawdziwszy, że Nr 31 „Świata“, wydany w chwili wybuchu wojny, przeważnie nie doszedł do naszych czytelników, przerwaliśmy druk powieści. Obecnie, gdy okoliczności pozwalają mniemać że na znacznej liczbie traktów poczty zaczynają działać normalnie, wznowiamy druk „Romansu i powieści“. Tym prenumeratorem, których okręgi pocztowe odcięte są jeszcze od Warszawy, zaległe zeszyty „Romansu i powieści“ wyślemy niezwłocznie po ponownem otwarciu ich traktów.

że zaczyna panować nad jednym z najpotężniejszych ludzi świata.

Shurman zrzadzał się z nią, że wobec tego, co zamierza, należy przenieść się z dalekiego południa do stolicy. Czas zaniechać dawnego oddalonego życia. Wszak nie wszystko załatwia się po biurach i w godzinach biurowych. Odstąpiła przed nim ogromne znaczenie szerokiego towarzyskiego życia. Harry, któremu zostawiała dalsze losy dynastji, nie może zdziwić przy pracy, między urzędnikami i bussinessmenami. Trzeba go puścić nieco w świat, żeby wypoczął — a potem należy mu wyszukać żonę.

Otworzą w New-Yorku dom, godny Shurmana. Tom Shurman wiedział, że nie znajdzie na świecie kobiety, któraby godniej i mądrzej reprezentowała wobec świata jego idee i cele.

Już podczas podróży Mistress Shurman zbliżyła się do rodziny Slazengerów, którzy wracali tym samym statkiem. Po paru przelotnych i przypadkowych rozmowach w salonie głównym, w bibliotece, oczarowała panią domu. Bacznie przyglądała się miss Lucy, milczacej i skupionej, obserwowała jej narzeczonego, wykintnego europejczyka, łowcę amerykańskich posagów. Żałowała pięknego Gustawa, że bierze tak brzydką żonę, czuła pogardę dla Lucy za to, że ją zadowolili francuski piesek salonowy.

Lucy czuła nieprzełamana odrazę do narzeczonego. Wiozła go na ów swój ślub — bo i cóż miała czynić...

Pewnego dnia, który dotychczas był dla niej snem poczwarnym i nieprawdopodobnym, zjawiła się w domu nieprzytomna i zamknęła się u siebie, nie odpowiadając na żadne błagania matki. Kiedy wreszcie wyważono drzwi, znaleziono ją leżącą w odrętwieniu, niemą, o oczach osłupiałych i nie widzących. Oprzytomniała dopiero po trzech dniach.

Napróżno błagali ją rodzice, żeby powiedziała, co jej było. Nie rzekła o tem ani jednego słowa. Głuche wieści krałyły po domu między służbą, przedostały się do znajomych, doszły i do Gustawa. Ale nikt nie wiedział prawdy.

Nie chciała o niej wiedzieć i sama Lucy. Dwa, trzy dni, spędzone jakby w letargu, zabrały jej coś ze świadomości. Pamięć była jakby niezupełna. Zrodziła się w niej dziwna możność kłamania przed sobą. W za-

maconej głębi swojej istoty przechowywała grozę czegoś niepojętego. Była w tem rozkosz i odraza, był to jakiś sen upajający i okropny.

Przeklinała ów sen, a za nie w świecie nie chciałaby go zapomnieć. Straciła wszystko, a zdawało jej się, że dopiero teraz urodziła się na nowo.

Co począć w tem nowem życiu. Zwyczainy, ludzki strach, którego się wstydziła, trzymał ją przy narzeczonem. W prostem wyrachowaniu, jak prawa kupiecka córka, już postanowiła wypędzić od siebie męża natychmiast po...

To swoje, przyjść mające dziecko, kochała już bezmiernem, zapamiętałem przywiązaniem. Za nie w świecie nie dałaby go w sobie zabić. Ono będzie jej celem i życiem. W nim kochać będzie swoje najcudowniejsze chwile złudzenia, jedyne swoje szczęście, które ją zdradziło i splugawiło — a w którym jednak była prawda rozkoszy, jakiej nie zazna już nigdy.

Przechodzili momenty nienawiści do szatana, który stanął na jej drodze. Piękł ją wstyd najbardziej dręczący samotny, wstyd przed sobą. A pośród przekleństw i złorzeczeń wyrastała już przed nią żywa postać zuchwałego złoczyńcy i truchlało w niej serce pod grozą ostatnich słów jego: — jeszcze się spotkamy!

We wstydzie i w poniżeniu i w tym ostatnim upadku przyznawała się do hańby swojego tajnego pragnienia. Słyszała wyraźnie głos, który się w niej odzywał głucho, uparcie i rozpaczliwie: — niech będzie co chce, wszystko jedno... przyjdź!

Gustaw dopiero na „Atlanticu“ nabrał pewności siebie. Blizki termin ślubu, przynęcenie i łagodność Lucy, która od paru tygodni nie poniżyła go jeszcze ani razu, wreszcie owa jej tajemnica, która, jak to wy-czuwał instynktem, dawała mu jakąś niejasną przewagę — wszystko to wraz z ożywczem technieniem oceanu i podnieceniem podróży przywróciło Gustawowi dawny swobodny humor i uczyniło go jeszcze piękniejszym.

Już kilkakrotnie pozwolił sobie wobec Lucy na ton tak drwiący, wykintnie wielkopański i na uśmiech dobrodusznego lekceważenia. Ucho-dziło mu to jakoś, Lucy zdawała się zupełnie nie dostrzegać tej niebываłej poufałości.

DCN.

Rozdział LXX.

Było bardzo ciemno. Parę lamp tylko paliło się na molo; mimo to, byłam w obawie, że dozorca mola pozna mnie. Jakoż tak mi się wydało w pierwszej chwili, gdyż gdy wchodziła na pomost, zawołał:

— Osobna kajuta na głównym pokładzie!

Miałam jeszcze tyle przytomności, by zażądać drugiej klasy, co zbiło go z tropu zupełnie, zaraz też innym głosem krzyknął:

— Do drugiej klasy, tedy!

Zesłam copredziej na dół do wspólnej kajuty, tworzącej rodzaj trójkąta w dziobie okrętu, z otwartym piecem pośrodku podłogi i kopacą olejną lampką w suficie.

Tu mnie odnalazł mój tragiczny z walizą. Nie mając zgola pojęcia o wartości pieniędzy, dałam mu pół korony na piwo. On popatrzył najprzód na mnie, potem na monetę, spróbował ją w zębach i odszedł, śmiejąc się w kulak.

Usiadłam w najciemniejszym kątku kajuty, oczekując z bijącym sercem trzeciego dzwonka. Każda minuta zwłoki wydawała mi się wiekiem, wciąż bowiem doznawałam uczucia więźnia, który uciekł i którego mogą schwycić.

Wreszcie maszyna gwizdnęła, podniesiono kotwicę i, obeirzawszy się, zobaczyłam światła mola niknące za nami. Wówczas odetchnęłam z głębi piersi i wyszłam na pokład. Ale, o! jakież okrutne czekały mnie tam wrażenia!

Okrażaliśmy właśnie latarnię morską, stojącą na południowo-wschodnim cyplu zatoki, i jej obrotowe światło, padłszy wprost na mnie, uprzytomniło mi nagle tę gwarną i radosną chwilę uroczystego odjazdu Jurka.

To zestawienie z moją kryjomą, poniżającą ucieczką było tak okropne, że dusza rozdarła się we mnie.

Ale kubek mój nie był jeszcze pełen. Wnet potem przepłynęliśmy koło portu Raa i zobaczyłam światła w oknach domu mego męża i sznur elektrycznych lamp nad szklanym dachem pawilonu.

Co sie tam jutro rano dzieć będzie, gdy spostrzegą moja ucieczkę? Co się dzieć będzie wieczorem, gdy przyjdzie mój ojciec, nie wiedząc o niczem, bo znając złośliwość mego męża, byłam pewna, iż mu tej okrutnej niespodzianki nie oszczędzi.

I wyobraźnia przedstawiała mi z jakąś przerażającą dokładnością całą tę scenę.

Jakby na jawie, ujrzałam tłumy gości postrojonych, ujrzałam miriady światel, ujrzałam mego męża i Alme, a przede wszystkim ujrzałam mego oica, tego starca, dotkniętego

śmiertelną chorobą, zranionego lwa, którego nawet cień śmierci nie zdołał pokonać, zmiażdżonego na proch w tej godzinie swego tryumfu przez postępek jednego dziecka.

Słyszałam jego okrzyki wściekłości, przekleństwa, miotane na mnie, a potem szepoty „przyjaciół”, opowiadających mu „prawdziwą przyczynę” mojej ucieczki, moje wiarołomstwo, zupełnie, iakgdyby sam szatan uwziął się na to, by jedynym celem tego zbiegowiska i tych szalonych zbytków, na które ojciec wydał tyle pieniędzy, było otrąbienie mojej hańby.

Ale to nie była jeszcze ostatnia kropka.

Wkrótce nieszczęśliwy port Raa, światła z domu mego męża znikły w ciemnościach i parowiec wypłynął na pełne morze.

Stałam przy borce, trzymając się sznura, przeciągniętego wpoprzek dzioba, i teraz dopiero, gdy znalazłam się sama, oko w oko z Naturą, ucieczka moja ukazała mi się we właściwym świetle.

Pojęłam, że skoro tylko fakt ten stanie się głośnym, ludzie połączą nazwisko Jurka z mojem i moja hańba obryzga błotem jego honor, droższy mi nad mój własny.

O, Boże! Boże! I czemu Natura bywa tak sroga i okrutna dla kobiety? Czemu dozwolonem jest, by za to, że uległam najczystszyemu porwowi serca, żelazne prawo płci mojej powstało przeciwko mnie i potępiło nietylko mnie, lecz i tego, który mi był droższym nad wszystko w świecie?

Nie wiem, iak długo stałam tak, trzymając się sznura. Dokoła panowała głęboka cisza, przerywana tylko ciężkimi krokami majtki, niezrozumiałem nawoływaniem z kapitańskiego mostku, poświstem wichru w masztach i monotonnym chlupotem fal, objających się o boki parowca.

Och! iakże się czułam marną, słabą, bezradną!

Patrzyłam w niebo, ale nademną nie było ani nieba, ani księżyca, ani gwiazd, tylko czarność bezbrzeżna, zdająca się przytłaczać mnie swym nieważkim ciężarem.

Patrzyłam w morze; ale podemną nie było morza, tylko iakaś zielonawa smuga piany, widna w oświetleniu porozwieszanych lamp, podnosząca się i opadająca z biegiem statku, a dalej groźna i pustka zieleń przestrzeni.

Nie płakałam, tylko czułam to, co przedemną czuły i po mnie czuć będą kobiety, które zgrzeszyły przeciw światu i jego prawom, czułam, że dokoła mnie niema nic i że nikt nie pospieszy mi z ratunkiem i pociechą.

„Z głębokości wołam do Ciebie,

o Panie! Panie, wysłuchaj mego wołania!”

I oto nagle zstąpiła na mnie błogosławiona myśl. Płynęliśmy ku wschodowi i noc była teraz, lecz oto za kilka godzin zbudzi się dzień i słońce zajaśnieje na niebie.

Tak będzie ze mną. Jurek wróci... a i ja dażę na jego spotkanie. Ciemności otaczają mnie teraz, lecz świat już może niedaleko.

Może byłam dziecinna, lecz myślałam pocieszała mnie. I oto, zapominając, że jestem bezdomnym wyrzutkiem społeczeństwa, że czeka mnie jedynie ten ogromny Londyn, w którym nie mam ani jednej życzliwej duszy, zesłam do kajuty i, ułożywszy się, iak mogłam najlepiej na twardych deskach, usnęłam.

Rozdział LXXI.

Nazajutrz zrana o ósmej siedziałam już w pociągu, unoszącym mnie z Liverpoolu do Londynu.

Wsiadłam do damskiego przedziału drugiej klasy. Jedyną moją współpasażerką była wysoka, jasnowłosa kobieta w fokowym żakiecie i obłrzymim, czarnym kapeluszu. Woniała woda kolońska i zajęła obie siatki swemi wakunkami, składającymi się wyłącznie z pudełek z damskimi kapeluszami różnych rozmiarów.

Zaledwie pociąg ruszył, wdała się ze mną w gawędkę, zasypując gradem zapytań.

Czy idę do Londynu? Tak? Czy mieszkam w Liverpoolu? Nie? To może w Londynie? Także nie? Więc na wsi? Tak? Ach to ślicznie! na wsi tak przyjemnie mieszkać!

Pojęłam w lot, że jeśli chcę zatrzeć za soba ślady ucieczki, muszę się dobrze pilnować, by ani słowem nie zdradzić swojej tożsamości; choć ani wiedziałam, iak się do tego wziąć, nigdy w życiu jeszcze nie skłamawszy rozmyślnie.

Przywadek pomógł mi w tym względzie. Towarzyszka moja zapytała mnie, czem się trudni mój mąż; ja zaś przywyklszy już uważać w duszy Jurka za mego prawdziwego męża, odnowiedziałam, że jest komendantem.

— Komendantem statku?

— Tak.

— Ach! to zapewne odprowadziła go pani do Liverpoolu! To ślicznie! Jaby tak samo uczyniła, gdyby mój mąż był marynarzem.

I znowu spadł na mnie grad kłopotliwych zapytań: Czy mąż mój pojechał w daleką podróż? Tak? A gdzie? Na Południe, Czy do Indyi, czy do Australii? A może do Nowej Zelandyi? Tak, jeszcze dalej.

— Ach! rozumiem — rzekła gadatliwa dama. — Jest zapewne kapitanem wędrownego statku i będzie jeździł z portu do portu, dopóki mu się tylko iakie cargo trafia.

Niedobrze rozumiejąc znaczenie tych słów, odnowiedziałam wymijając, a niezdolna inkwizytorka bała mnie dalej:

Taka młoda i już mężatka? Ale zapewne od niedawna? I może nie urządziwszy się jeszcze u siebie, iadę do Londynu, by tam czekać powrotu męża? To bardzo rozumne; w mieście o tyle wesele, niż na wsi!

— Ma tam pani krewnych?

— Nie.

— To przyjaciół?

— Także nie.

— Będzie pani smutno tak samei.

— Zapewne.

Wyciągnawszy ze mnie, co się dało, moja towarzyszka zaczęła mi opowiadać o sobie.

Była modniarka i miała magazyn w Londynie, w dzielnicy West-Gudo. Od czasu do czasu jednak jeździła na prowincję po obśtałunki od tamtejszych magazynów, w sezonie jednak nie ruszała się ze stolicy, miała bowiem liczna i bogata klientelę i to była pora największego ruchu i zarobku.

Tymczasem dojechałyśmy do Crewe i tu wstrzymano pociąg przed samą stacją. Modniarka wytknęła natychmiast głowę przez okno, by dowiedzieć się przyczyny. Pokazało się, że inny pociąg ze Szkocji przyszedł z pewnem opóźnieniem i przepełniony, a że nasze wagony miały być do niego przyczepione, więc to spowodowało zwłokę.

— Aha! rozumiem: — rzekła modniarka z ogromnem ożywieniem. — Sezon polowań skończył się i cały wielki świat wraca do stolicy. Znam, znam. To moja najlepsza klientela; w każdym razie panowie!

— Panowie?

— A czemużby nie? — odpowiedziała, zaśmiewając się znacząco.

Przyczepiono wreszcie nasze liverpoolskie wagony do szkockiego pociągu i wjechałyśmy na peron, po którym spacerowali panowie w knierbokerach i sukienkach czapka.

Moja towarzyszka знаła ich prawie wszystkich i recytowała mi ich nazwiska, niektóre i mnie nie obce.

Nagle drgnęłam. Wysoki mężczyzna, którego poznałam od pierwszego rzutu oka, przeszedł tuż koło naszego przedziału, zaglądając do środka; zdążyłam jednak skryć się za firankę.

— O! — wykrzyknęła moja towarzyszka. — To Teddy Eastcliff. Ożenił się z Kamilla, rosyjską tancerką. Niech pani sobie wystawi, że poznali się w moim magazynie.

Bladłam i rumieniłam się naprzemiennie, ale dzięki gestei woalce, osłaniającej mi twarz, moja towarzyszka nie zauważyła tego i paplała w dalszym ciągu, odpowiadając mi o swojej arystokratycznej klienteli w sposób, który rzucił jaskrawe światło na rodzaj życia tej modnej cyganerki.

W obawie, że usłyszę nazwisko mego męża, wpłatanę w jakiś skandalik, wymówiłam się bólem głowy od dalszej gawedy i zamknęłam oczy.

Moja towarzyszka zmuszona w ten sposób do milczenia, usnęła sa-

ma i chrapała w najlepsze do Willesden, gdzie zbudził ją konduktor, odbierający bilety. Ocknęła się raptem, poczem upudrowała sobie twarz w podróżnem lusterku i powróciła do moich spraw.

— Więc kochana pani nie ma nikogo w Londynie?

— Nikogo.

— To zapewne zajdzie pani do jakiego hotelu?

Odpowiedziałam, że będę musiała poszukać sobie tańszego pomieszczenia.

— A jeśli tak, — rzekła — to się doskonale składa; bo mogę pani wskazać coś, jak raz dla pani. Skromny, niby pensjonat na Bloomsburg: niedrogi, wygodny, a nade wszystko w najwyższym stopniu przyzwoity. Prowadzi go moja siostra; więc jeżeli pani sobie życzy, to mogę tam panią zawieźć.

Gdy teraz o tem myślę, pojąć nie mogę, jakim sposobem po tem, co mi modniarka naopowiadała, zgodziłam się na jej propozycję, nie bojąc się wykrzycia. Lecz w ciągu ostatnich paru godzin ogarnęło mnie takie moralne wyczerpanie, czułam się tak bezradna i opuszczona, że gdy moja towarzyszka ofiarowała mi jakieś schronienie w tym gwałnym, olbrzymim Londynie, który mnie teraz niewypowiedzianie przerażał, przyjąłam je wdzięcznem sercem, o niczem innem nie myśląc.

W pół godziny potem dorożka nasza wjechała w boczną ulicę od Russell Square i stanęła przed wysoką kamienicą o ponurym wyglądzie.

Kilkunastoletni wyrostek w załuszczonej trochę koszuli z przybrudzonym sztywnym gorsem, otworzył nam drzwi.

Moja towarzyszka odprowadziła mnie do sieni, a w teiże samej chwili z bocznych drzwi wyszła kobieta, jeszcze wyższa i cięższa, ale bardzo do niej podobna.

— To ty, Zosiu!

— Jak się masz, Janka? — zawołała moja towarzyszka. — Przywiozłam ci lokatorkę!

W kilku słowach opowiedziała jej o naszym poznaniu i celu mego przybycia do Londynu.

— Obiecałam pani, że ja przyjmiesz na mieszkanie na naidogodniejszych warunkach — dodała.

— Ależ, naturalnie — odrzekła siostra.

Wchwili potem wyrostek wniósł moją walizę, a modniarka pożegnała się ze mną, obiecując odwiedzić mnie niezadługo.

Zostałam sama z właścicielką pensjonatu. Powietrze było tu przesycone kuchennymi wyziewami, a z pokoju, który musiał być jadalnią, dochodził brzęk talerzy i sztućców.

— Może pani pójdzie naprzód do swego pokoju? — rzekła gospodyni.

Poszłyśmy na górę po schodach zastanych i zarzuconych dywanami aż na trzecie piętro do pokoju umieszczonego w samym końcu wąskiego korytarzyka.

Był to mały pokój, cokolwiek większy, niż ten, w którym z rozkazu ciotki Brygidy sypiałam w domu za moich dziecinnych lat i równie chłodny i pęsepy.

Niegdyś różowa w kwiaty, a teraz całkiem wyblakła tapeta, okrywała ściany, okno było zasłonięte koronkami, w kilku miejscach podarte mi i krzywo zawieszona stora; nad kominkiem wisiało lustro w mocno zaśniedziałych platerowanych ramach; skórzany fotel o sterczących sprężynach i wytłoczonym siedzeniem, zajmował honorowe miejsce naprzeciwko łóżka.

— Myślę, że to pani wystarczy, iak na teraz — rzekła moja gospodyni, a ja, choć coś mnie za gardło ścisnęło, odpowiedziałam twierdząco.

— Za całe utrzymanie, wyłącznie z usługą, policzę pani jeden funt tygodniowo — ciągnęła dalej tamta. — To chyba nie drogo?

— Nie drogo — odszepnęłam zdławionym głosem.

— To i dobrze. A teraz może się pani umyć, odświeżyć i zejść na dół, bo właśnie siedziwy przy lunchu.

Gadaliwa, gapiowała pokojówka przyniosła mi gorącą wodę w blaszanym niebieskim dzbanku; umyłam się więc szybko i pocesałam, a będąc bardzo głodna, zesłam do jadalni.

Był to duży pokój, duszny, iak reszta domu i iak reszta, domagał się gwałtownie odnowienia. Przy długim stole pośrodku siedziało około dwudziestu osób obojej płci, przeważnie w starszym wieku i w iakichś przedpołowych strojach.

Wszyscy, iak na komendę, podnieśli na mnie oczy i zaprzestali jeść, co mnie tak zmieszało, że zatrzymałam się przy drzwiach, nie wiedząc, co począć ze sobą.

Zauważyła to gospodyni, przydujaca przy stole.

— Proszę pania, tutaj — rzekła i, posadziwszy mnie obok siebie na przygotowanym już widocznie dla mnie miejscu, szepnęła:

— Siostra nie powiedziała mi, iak się pani nazywa? Proszę więc o godność.

Zaskoczona niespodzianie, nie miałam czasu do namysłu.

— O'Neill — odszepnęłam, a gospodyni, zwracając się do towarzysstwa z taką poufalością, iakgdyby to byli członkowie jej rodziny, rzekła głośno:

— Pani O'Neill, moi drodzy.

Wówczas panie, siedzące przy stole, kiwnęły głowami z uśmiechem, a panowie (zwłaszcza naistars i najmłodaczej odziani) powstałi z miejsc i skłonili mi się głęboko.

Rozdział LXXII.

W pierwszej chwili, przeglądając się moim współbiedniakom, mówiłam sobie, że nie mogłam trafić gorzej i że ten „cichy“ pensjonat musi być siedliskiem intruz i plotek.

Lecz już no jednodniowem nocybie przekonałam się, że to było zu-

pełnie błędne mniemanie. Wprost przeciwnie. Wszyscy ci wiekowi ludzie myśleli wyłącznie o sobie i nic ich poza tem nie obchodziło.

Był tam między nimi stary pułkownik, który niegdyś służył w indyjskiej armii, a teraz oddawał się jakoby biblijnym badaniom, których celem było ustalenie pochodzenia angielskiego narodu od zaginionych plemion Izraela.

Inny znowu staruszek z patryarchalną brodą, posiadający jakoby mnóstwo dyplomów, z których żaden nie zapewnił mu dostatecznego utrzymywania, pracował nad historią świata i po czterdziestu latach nestającej pisaniny, doszedł do pierwszego wieku przed Chrystusem.

Jedna z dam, niewiasta w sędziwych latach, o dobrodusznej fizyonomii, miała być tragiczną aktorką i przygotowywała się skrycie do występów w Teatrze Narodowym.

Takimi to byli moi współmieszkańcy, a podobnych im posiada każde wielkie miasto: wielkich uczonych, wielkich pisarzy, wielkich artystów, o których świat nie wie; melancholijne odpadki ludzkości, które fala życia wyrzuca na brzeg i dla których niema miejsca ani w rodzinie, ani w społeczeństwie, ani nigdzie.

I byłabym może długi czas żyła bezpiecznie w tem dziwaczem środowisku, w które los trafram mnie rzucił, gdyby nie fatalny zbieg okoliczności.

W pensjonacie mieliśmy tylko jeden dziennik. Przynoszono go zrana i służący kładł go w iadalnym pokoju na kominku, skąd ustalonym zwyczajem pierwszy ze schodzących na śniadanie gości brał go i odczytywał na głos najważniejsze nowiny całego towarzystwa.

Trzeciego dnia po moim przyjeździe stary pułkownik, wygrzewając się przy kominku z dziennikiem w ręku, zawołał nagle:

— Słuchajcie państwo: „Tajemnicze zniknięcie małżonki para“.

— Czytaj pan — rzekł uczony z broda.

Filiżanka herbaty, która niosłam do ust, zadrżała mi w ręku i nie wiem jakim cudem nie upuściłam jej na ziemię.

Stary pułkownik zaś czytał:

„Telegram z Blackwater donosi nam o tajemniczem zniknięciu młodzianki małżonki lorda Ra, które się wydarzyło albo we wtorek wieczorem, albo w środę rano“.

„Nadmienić należy, że dama ta zaledwie przed rokiem poślubiła lorda Ra, i zniknięcie jej jest tembardziej nie pojętem, iż przez cały poprzedzający je miesiąc zajmowała się gorliwie przygotowaniami do wspaniałej uroczystości, która ma się odbyć na cześć powrotu młodych małżonków z długiej i szczęśliwej, poślubnej podróży“.

„Budynek, w którym wyżej wzmiankowana uroczystość miała się odbyć, wzniesiony został umyśl-

nie w tym celu na wzgórzu pomiędzy Zamkiem Ra a morzem. Należy więc przypomnieć, że nieszczęsna dama, poszedłszy w czwartek późnym wieczorem dojrzeć ostatecznych przygotowań, poślizgnęła się w ciemności i spadła ze skały, która w tem miejscu prostopadłe niemal sterczy nad morzem“.

„Fakt tego tajemniczego bądź co bądź zniknięcia uiawnił się dopiero w chwili, gdy goście, zaproszeni na śródowa uroczystość, poczęli się tłumnie zjeżdżać, oczywiście, wywarł piorunujące wrażenie wśród tak radośnie nastrojonego zgromadzenia“.

„Dotkniętemu tak strasznym ciosem małżonkowi towarzyszy powszechne współczucie“.

Gdy pułkownik skończył czytanie, musiałam zagryźć usta do krwi, żeby nie krzyknąć. Zdawało mi się, że wszyscy moi współlokatorowie skoro tylko na mnie spojrzeli, odgadną, iż to ja jestem tą zaginioną „małżonką Ra“.

Ale oni nie patrzyli na mnie i po szeregu wykrzykników w rodzaju: „To dopiero“, „Co się też z nią stało“, „I to w wigilię takiej uroczystości“ wdali się w rozprawę o zniknięciach wogółności, ilustrując przedmiot przykładami z dziedziny własnych specjalności.

— Nadzwyczajna rzecz, jak lu-

dzie znikają teraz w iakiś niepojęty sposób — zauważył ktoś.

— Nadzwyczajna, powiadasz pan? — rzekł pułkownik. — A cóż w tem nadzwyczajnego, że jeden człowiek zniknął, gdy całe narody — dziesięć pokoleń, naprzykład...

— To zupełnie co innego — zarzucił staruszek z broda. — Gdybyś pan jeszcze zacytował odnośne przykłady z Biblii, jak Elizeusza lub Jonaszka...

I rozprawiali dalej w ten sposób: ja zaś wstałam i, cała drżąc, wyknęłam się do mego pokoju.

Trudno opisać udręke, w jakiej żyłam od tej chwili. Każdy dzień przynosił jakieś nowe szczegóły: a to, że korespondenci różnych dzienników wyjechali do Tllanu, by zbadać na miejscu okoliczności, towarzyszące memu zniknięciu, a to, że przypuszczenia nieszczęśliwego wypadku ustąpiły przypuszczeniom samobójstwa lub zaś przypuszczeniom ucieczki, a to, że tragarz w Blackwater zeznał, jako zanosił moją walizę na statek, który odszedł we wtorek o północy, jak zrazu wziął mnie za pokojówkę z wielkiego domu, lecz poznał, że się omylił, gdy mu dała pół korony (według taksy należało mu się trzy pensy), jak wreszcie wszystkie te wskazówki nie doprowadziły do żadnych pożądaných wyników.

DCN.

Adolf Nowaczyński.

Było to nad Bałtykiem. (Bergsohn & Bergson).

5

Krotochwila w 3-ch odsłonach.

U oficerów zdumienie.

KSIAŻĘ (*bardzo rozweselony*). Co tam widzisz WitzeWitz?...
WITZEWITZ (*powoli*). Ja teraz

widzę wiszące ogrody! bardzo wiszące ogrody! O! U tej Semiramidy...
Śmiech rubaszny u oficerów.

HUTTEN. Hahaha!... Ależ to jest żona pewnego pastora z Gdańska...
WITZEWITZ. Poczem ja mogłem

poznać, że z Gdańska?...
RAKUZI (*wesoło*). W samej rzeczy to jest żona pastora... coprawda dawno już rozwiodła się mężem i wstąpiła do kabaretu: „O mein Lieber Augustin“.

WITZEWITZ (*z politowaniem*). O du lieber Gott! Taka młoda! I już jest pomywaczką w Damen-Toilette? (*kręci nosem*).
Śmiech u oficerów.

RAKUZI. Przepraszam, że ośmielałem się zaprzeczyć. Ona nie jest pomywaczką. Ona jest szansonetką i to bardzo popularną w Prusach. Śpiewa takie piosenki w stylu Yvetty Guilbert!

KSIAŻĘ (*z pasją*). Wie meenen Sie?... Guilbert?... Piui Deubel! Nur in

Preussen möglich so wat!... (*do Huttena*) Cacao?

HUTTEN. Allerdings! Selbstverständlich! Nur in Preussen!

WITZEWITZ (*nucac*). Wo regieren die Blauweissen... Haha...

KSIAŻĘ (*lornetując, uprzejmie do Rakuzkiego*). Ale panie Hofracie... coś tego roku mniej przyjechało Syren ze Sarmacyi?... He?...
WITZEWITZ. Za to Sar ze Syonu wiele!

HUTTEN. Ja mam nawet wrażenie czasem, że to jest „Morze Czerwone“...
KSIAŻĘ. W każdym razie to jest „Morze Martwe“ (*z obrzydzeniem*) i płytkie.

WITZEWITZ. No! jest jednak głębiej niż w Sytzbazie, omal tak, jak w mykwie!

KSIAŻĘ (*rozglądawszy się po Guckkasten*). Wiecie co moi kochani? Jąbam się napil portera.

RAKUZI. Tu jest nawet bardzo dobry porter. Krajowy.

KSIAŻĘ (*z niesmakiem*). Kann mir

gestohlen werden! O nie! Może mają angielski?... (*rozglądnął się dokoła i dopiero teraz po raz pierwszy dostrzegł rysującego Ziutka*). Pruski portier wytwarza w konsumentach totale Gehirnerstopfung (znów spoglądnął na Ziutka).

Ziutek mimowoli parsknął śmiechem.

HUTTEN. Ja też prawdę powiedziałszy nie radziłbym.

KSIĄŻĘ (*do Rakuzkiego, poufnie*). Liebster Herr Hofrat!.. Tam siedzi w kącie... taki kibic... ein Schnellmaler! czy Kunstmaler?... oder sowas...

HUTTEN (*opuścił lornetkę, szybko*). To jest Kunstmaler!

RAKUZKI (*przezczony, spojrzał błagalnie na Huttena*). Ależ panie adjutancie?... (*do Księcia, pospiesznie*). To nic ciekawego!... Taki sobie...

KSIĄŻĘ. Jakto nic ciekawego?... Niemiec?...

RAKUZKI. Nie! To nie znowu! Ale futurysta!

KSIĄŻĘ (*niesłychanie uradowany*). Donnerwetter! Czy być może? Naprawdę?... Futurysta? To ja go muszę poznać! Witzewitz! Sofort!

RAKUZKI (*jakby głowę stracił, zblił*). Ależ bo proszę... przepraszam... Ale to niemożliwe!... On się absolutnie nie kwalifikuje... Ein frecher Bengel... Początkujący malarz... Trochę anarchista nawet...

KSIĄŻĘ (*uradowany*). Tjaja! I anarchista? i futurysta?... Reicend... Zaraz ni go tutaj dawajcie...

HUTEN (*wesoło*). Nawet portrety robi... (*do Witzewitza*). Jetz kommt a Gala-Spektakel...

WITZEWITZ. Byle tylko panowie socjaliści nie widzieli, że my z anarchistami wchodzimy w komitety!

KSIĄŻĘ (*do Rakuzkiego*). Idź pan do niego zaraz i poproś go tu w moim imieniu...

HUTTEN (*trzępnawszy radeę po remieniu*). Courage alter Herr! Nie bój się pan!...

RAKUZKI (*westchnął ciężko, ukłonił się*). Spełniam rozkaz... i idę (*poważnym krokiem idzie ku Ziutkowi, obcierając pot z czoła*).

KSIĄŻĘ (*patrzac znów przez lornetkę na morze*). Ale ja nie widzę nigdzie obiecaney pani Karpińskiej.

WITZEWITZ (*patrzac również, z radością*). Jest... jest... tylko tyłem do nas stoi... o tam!... Ten szary bademantel!

Rakuzki podszedł do Ziutka, zachowującego się nadal z absolutną obojętnością. Grzecznie się skłoniwszy, oznajmia mu uroczystie, że głowa koronowana objawiła chęć poznania go. Ziutek powoli, leniwie wstaje.

HUTTEN (*patrzac w morze*). Co? Ta wykałaczką tam? Witzewitz, ty się mylisz!...

wykałaczkę... (*do Księcia*) O tam... To myślę się Poradowski! Tam niema wykałaczkę... (*do Księcia*) O, tam... To eteryczne zjawisko!.. Czy Wasza Książęca Mość pozwoli mi już poprosić tu tę panią?... Mieliliśmy ją przecież fotografować.

KSIĄŻĘ (*wesoło*). Hab nyszt daję-

gen Witzewitz!... Jeżeli panu to tylko przyjemność sprawia... prosz pan Syrenę z Warszawy...

Witzewitz salutowawszy *szybkim krokiem* wybiega w prawo. Rakuzki z Ziutkiem zbliża się.

RAKUZKI (*do Huttena*). Jesteśmy więc panie hrabio... (*półgłosem*) Ale pan bierze na siebie całą odpowiedzialność.

HUTTEN. Selbstverständlich... Selbstverständlich... (*wpół do Ziutka*). Nazwisko?

RAKUZKI (*szybko*). Kiełb, Zenon Kiełb.

ZIUTEK (*głośno i śmiało*). Von Kiełb!

HUTTEN (*do Ziutka grzecznie*). Selbstverständlich! Merçi (*do Księcia*). Wasza Książęca Mość pozwoli sobie zaprezentować: Herr von Kiełb, Kunstmaler.

KSIĄŻĘ (*odwracając się, uradowany*). Aha... Also Kunstmaler! nie Schnellmaler! Reicend...

Ziutek kłania się spokojnie, ale z mocną efronterą.

KSIĄŻĘ. Pan tego? pan Sarmata?... Polak?...

ZIUTEK (*kiwając głową*). Paryżanin.

KSIĄŻĘ (*niewiele spłoszony*). Na... ja... Więc nie Sarmata... Francuz?...

ZIUTEK. Nie! Nie Francuz, Paryżanin. Sztuka nie zna żadnych narodowości! My prymitywiści jesteśmy konsekwentnymi kosmopolitami! Naszą ojczyzną, naszym państwem, naszym... wogóle... jest tylko Paryż...

Wśród obecnych poruszenie. Radea Rakuzki stracił mocno na humorze, stoi z boku niezadowolony.

WITZEWITZ (*do Księcia*). Zaczyna się ciekawie.

KSIĄŻĘ (*zaintrygowany, chętny*). Aha... aha... Ja już słyszałem o takich... o panach... To się doskonale składa. Prymitywiści! Cacao! Was yst ten tas wieder?...

HUTTEN. Ausserste Linke von Futuristen...

KSIĄŻĘ. Janz famos... Notorycznego futurysty myśmy jeszcze nie widzieli. Prawda von Hutten?...

HUTTEN. Nie, proszę Waszej Książęcej Mości... Nigdy... (*do Ziutka*). A pan jest pastelista czy batalista?

ZIUTEK (*protekcjonalnie*). Ani to ani tanto! Ja jestem expresjonistą!

KSIĄŻĘ (*z zalem*). Expresjonistą?... A to szkoda!... Jammerschade... Pfui Deibel... Więc nie futurysta? A ja tak chciałem mieć swój portret robiony futurą. Mam już temperą i sanguiną...

HUTTEN. Ale może to się da naprawić?... Chyba pan Kiełb nie zawsze jest expresjonistą?...

RAKUZKI (*chcąc pomóc w sytuacji*). Ależ naturalnie nie zawsze. Ja pierwszy raz o tym słyszę. Myśmy pana brali zawsze za futurystę.

KSIĄŻĘ. No... a co to właściwie oznacza? Prymitywista? Expresjonista? Ale pasteli pan nigdy?... Hę?...

ZIUTEK (*wysłuchawszy ich, z miną bezgranicznie pogardliwą*). Przedewszystkiem więc: futurą się nie maluje! (*dobitnie*). Prymitywistyczne dzieła zaś można malować i pastelami... Po drugie prymitywizm jest to kierunek malarski

dziś tak dostojny i ważki jak za naszych ojców czy dziadów był symbolizm, kubizm, impresjonizm... Pó trzecie zaś ja każdej chwili gotów jestem od ręki rzucić szkic expresjonistyczny Waszej Książęcej Mości, o ile tylko otrzymam propozycję...

RAKUZKI (*do Huttena półgłosem*). Tego tylko brakowało socyalistom. (*głośno szybko do Ziutka*). Ale może pan

przedtem zechce objaśnić W. Książęcej Mości, co to jest ten prymitywizm właściwie! Kto wie czy... czy wtedy...

KSIĄŻĘ. Janz recht... janz recht... Będę panu bardzo wdzięczny von Kiełb!

ZIUTEK (*do Rakuzkiego zaczepnie*). Kto wie czy co? czy co? Czy J. K.

Mość da się wtedy portretować? Tak? O to już jego rzecz a nie pańska. (*do Księcia*). Objasniać tu właściwie niema czego... I coprawda, bez fundamentalnych podstaw jakiej takiej kultury artystycznej trudno będzie zrozumieć. Tyle tylko mogę księciu powiedzieć, że prymitywizm jest to reakcja na malarstwo scienceyficzne, naukowe, europejskie...

KSIĄŻĘ (*półgłosem do Huttena*). Notuj hrabio albo zapamiętaj...

HUTTEN (*kiwa głową*). Wedle rozkazu (*do Ziutka*). Więc... (*powtarza*) „reakcja... malarstwo... scienceyficzne... (*notuje szybko na bloczku*)”.

ZIUTEK. Tak!... Powrót do naiwnych, pierwiastkowych form twórczych.

HUTTEN (*notując*). Naiwnych... twórczych...

ZIUTEK. Powrót do plastyki ludów żyjących na łonie natury, do sztuki malajczyków, maorysów, papuasów, peruwiańczyków, Tahiti.

HUTTEN (*notując*) ...sztuki papirusów... powrót do Haiti... Peruwiańczyków...

Radea Rakuzki pogardliwie wrusza ramionami.

ZIUTEK (*patrzac lekceważaco na notującego v. Huttena*). Tahiti! Nie Haiti!... Powrót wogóle do prostoty... do ekspresji środków bezpośrednio z naturą tego (*zająkał się*) niby... bezpośrednich z natury... z naturą...

HUTTEN. Z natury! Na also...

KSIĄŻĘ (*majstrując koło aparatu fotograficznego*). Aha... Więc z natury! Janz recht... Więc pan studyuje naturę (*wskazuje lornetką na morze*). Pan tu zapewne malował morze?...

ZIUTEK (*odął wargi, przeczy głową*). Czym studyował morze? naturę? Nie! nigdy! Natury się nie studyuje. Natury się nawet nie obserwuje, nie tyka, nie bada... Skądże znowu?...

KSIĄŻĘ (*zdaumiony*). Kollosal! Unerhört!... Dlaczego?

HUTTEN. A to jakże się maluje z natury jeżeli się jej nie studyuje! Donnerwetter!

RAKUZKI (*jeszcze raz interweniując, serdecznie*). Ależ panie Kiełb! niechże się pan zastanowi! Co na to wszystko powie mamusia, gdy się dowie.

ZIUTEK (*do v. Huttena*). Nie panie kochany. Natury się nie studyuje, ani nie obserwuje, ani nie maluje się z natury! Natura jest niepoprawnym kiczem! Naturę się dekomponuje, defiguruje, koryguje, redukuje, rekoloruje!... o...

KSIĄŻĘ (*doskonale usposobiony, u-*

ślawia aparat fotograficzny na Ziutka). Pan może mieć rację! Mir is janz piepe. Ale przecież pana w szkołach uczyli malować z natury?... Hę... I mój portret szkicowałby pan z natury? Na?...

HUTTEN I nauka malarstwa przecież także... potrzebna?

ZIUTEK (*krzywiąc się mocno, prze-
stępuje z nogi na nogę*). Nauka nic tu nie
ma do gadania. Scyentyficznie sztuki się
nie zdobywa!... Każdego, kogo... uczyli, te-
go niczego nie wyuczyli... Żeby umieć
definitywnie malować... trzeba... trzeba
(*uroczyście, mentorsko*) polegać na wła-
snym bezpośrednim sentymencie! na in-
stynkcie i intuicji!... o... instynkcie i in-
tuicji!...

V. HUTTEN (*zapisuje szybko*). Lang-
sam! Langsam gefällig! intuicji... Intui-
cja!... Tat hab ich schon wo gehört...
Hoheit!...

KSIĄŻĘ (*dotykając Ziutka*). Janz
drollig! Wahnsinnlich interessant... (*pstryk-
nął balonikiem*). Dziękuję panu...

Drzwiami z lewej wchodzi pani Kar-
pińska, konwojowana przez rozkochanego
Witewitza. Jest jak Monna Vanna o-
winięta tylko płaszczem kąpielowym, nie-
pewna siebie, zawstydzona. Sta-
je z boku wraz z nadskakującym jej v. Witewi-
tze. Rakuzki szybko do niej podchodzi.

HUTTEN (*impertynencko do Ziutka*).
Więc według pańskich teorii i taki Boec-
klin niczego się nie uczy?...?

KSIĄŻĘ (*nakładając nową kliszę*).
Boecklin wierzył tylko w swoją intui-
cję!... Janz gewiss...

ZIUTEK (*jakby nie słyszał*). Kto ta-
ki?... Pardon, kto taki?... bo nie słysza-
łem.

KSIĄŻĘ i WITZWITZ (*głośno*).
Boecklin!

Ziutek wzrusza ramionami, jakby je-
szcze nie wiedział o co chodzi.

KSIĄŻĘ (*niecierpliwie*). No ten Boe-
cklin (*wskazuje na morze*) co tyle razy
malował naprzykład maryny! morze! sy-
reny... Wie pan już!...

ZIUTEK (*przypominając sobie coś-
kolwiek, z bezbrzeżną wzdargą*). Ach
Boecklin! Boecklin! O tego to idzie.
Wiem już, wiem... (*poważniejąc*) Bardzo
dobrze... ale kiedy mowa o definitywnej
sztuce, o malarstwie absolutnem, cóż wte-
dy ma do rzeczy nazwisko pana Boeckli-
na? To mógł sobie być popularny lakier-
nik! scyentyficzny! owszem! Ale o takim
w szanujących towarzystwach nawet się
nie mówi...

HUTTEN (*z pasją, półgłosem*). Sa-
krament! Verflucht!...

KSIĄŻĘ (*spokojnie*). Ruhe! Ruhe
Cacao!... (*do Ziutka*). Słuchamy pana
(*znów nadstawia aparat*). Na?

ZIUTEK. A jeżeli już seryo mamy o
nim mówić, to jego obrazy należałoby
dla dobra kultury europejskiej pociąć i
zrobić z nich poprostu... laufteppichy na
schody całkiem podrzędnych pensyona-
tów...

HUTTEN (*osłupiały*). Laufteppichy?
(*z pasją*). Na schody?... Ist tas Ihre
Meinung, tann sint Sie ein janz gemaj-
ner...

KSIĄŻĘ (*przerywając pospieszenie,
odsłuchując Huttena*). Schön erledigt... Ruhe
Cacao!... Nadzwyczajnie jestem panu

wdzięczny... Teraz niech pan jeszcze
chwilę stanie spokojnie... Nic nie mówi!...
O... tak!...

RAKUZKI (*zirytyowany do Witewi-
tza*). Ale temu trzeba już kres położyć!
Toż to kompromitacja dla całego narodu!
Co sobie J. K. Mość o nas pomyśli!

WITZWITZ (*kładąc mu rękę na ple-
cach*). Courage alter Herr! Dwudzie-
tego dziewiątego bardzo bawią te rzeczy!
On już dawno chciał osobiście poznać ży-
wego futurystę.

RAKUZKI (*do Karpińskiej*). Tak,
ale dla mnie to jest całkiem Strich durch
die Rechnung... Przecież on z panią La-
lą nie zamienił jeszcze dwóch słów... a tu
już tylko 4 minuty pozostaje...

Książę Otto jeszcze raz zfoto-
graował Ziutka, skinął mu głową. Ziutek przy-
biera naturalną postawę.

KSIĄŻĘ. Merçi. Schon erledigt... O
tak, mam z pana trzy zdjęcia... W każ-
dym razie będzie mi bardzo wesoło t. j.
pardon, bardzo przyjemnie mieć też
choćby szkic pańskiej ręki... Tylko czy
to długo potrwa?

ZIUTEK. Bardzo krótko... Tem się
właśnie różni ekspresjonizm od impre-
sjonizmu... Na tem polega ewolucja
twórcza w sztuce portretowania, że ex-
presjonizm...

KSIĄŻĘ (*przerywając mu*). Że por-
tret idzie tak rapid jak Orient-Ex-
press... Janz himmlisch!

RAKUZKI (*całkiem przygnębiony,
do Witewitza*). Czy pan słyszy? Bę-
dzie robił szkic portretu (*zalał rękę*).
Do czego już doszło!

KARPIŃSKA (*figlarnie*). No to
skandal! Bo chłopczyzna nie umie nary-
sować nawet normalnej krowy.

RAKUZKI (*oburzony*). Więc nor-
malnej krowy nie umie, a chce korona-
waną głowę?

HUTTEN (*surowo do Ziutka*). Ale
może pan tu niema swoich przyborów
malarskich?

ZIUTEK. Owszem panie rotmistrzu
(*wskazuje na stolik w kącie*). Mam je
wszystkie. Zaraz zabieram się do robo-
ty... (*zmierza do stolika, gdzie siedział
przedtem*). Owszem.

HUTTEN (*machnawszy ręką, zbliża
się do Rakuzkiego i pani Karpińskiej, do
Witewitza*). Jetz gets aber schlimmer
mein Lieber...

KSIĄŻĘ (*grzecznie*). Czy, mam sta-
nać en face, czy z profilu?

ZIUTEK (*do księcia*). Wszystko jed-
no proszę W. K. Mości! Proszę poru-
szać się całkiem zwobodnie. Mnie realna
wizja W. K. Mości jest całkowicie obo-
jętną. Nie maluję futerałów mięsnych
duszy ale samą duszę (*zasiadł wygodnie
za stolikiem*).

KSIĄŻĘ (*poprawiając epoletów i gar-
deroby*). Janz recht von Kiel! Janz
recht... (*do Witewitza*). Dat wirt ein
Hallo in Gelsenkirchen! O Gottogotto-
gott!...

ZIUTEK. Ze względu zaś na lic-
nych poddanych W. Książęcej Mości
w Koloniach Kamerunu, szkic ten bę-
dzie przypominał cośkolwiek urocz-
we w swej prostocie wypalane na glinie wize-
runki murzynów! wizerunki ich wodzów,
wojowników... o...

KSIĄŻĘ (*uradowany*). Janz himm-
lisch! (*do Witewitza*) ein extra-amusan-
ter Kauc!... Wat?

Rakuzki kręci się niespokojnie.

WITZWITZ (*podchodząc bliżej*).
A ja potem też pozwolę sobie obstałować
mój portret u pana.

ZIUTEK (*zabrał się już do pracy,
bagatelnie*). Proszę pana bardzo... Z mi-
łą chęcią...

WITZWITZ (*stanął tuż—obok sto-
lika Ziutka*). Tylko ja będę prosił, aby
portret przypominał prymitywne wize-
runki czerwono-skórych z Peru.

KSIĄŻĘ (*powstrzymując śmiech*).
Aber Witewitz!

ZIUTEK (*spokojnie*). I owszem. Zro-
bi się... Peruwiańczycy wyrzynają fas-
cynujące swą naiwnością maski swych
wojowników na tarczach, które robią z
oślej skóry... z oślej skóry!

Oficerowie w śmiech.

WITZWITZ. Na also!... A oprócz
tego ja teraz używam na włosy balsamu
peruwiańskiego.

ZIUTEK (*obojętnie, ale bezczelnie*).
Proszę bardzo... bardzo proszę! Przy-
da się...

RAKUZKI (*zebrawszy na odwagę,
podchodzi do księcia, z ukłonem*). Po-
zwolę sobie zwrócić uwagę Waszej Książ-
ęcej Mości, że właśnie (*ręką wskazał*)
pani Karpińska... tutaj... tego...

Karpińska składa ceremonialny uk-
łon.

KSIĄŻĘ OTTO (*zdziwiony nieco,
ucieszony, odwraca się*). Kto?... Pani
Karpińska? Tu?

KARPIŃSKA (*zdziwiona, stropiona*).
Stawiam się stosownie do życzenia Wa-
szej Książęcej Mości (*spojrzała pytająco
na Witewitza i Rakuzkiego*).

WITZWITZ (*szybko, dając znak
księcia*). Tak... tak... Właśnie Jego Książ-
ęca Mość raczył prosić panią tutaj!

KSIĄŻĘ (*pospiesznie*). Bez kwestyi
(*podając jej rękę*). Tak... tak... Witewi-
tze ma rację... (*wskazując na aparat*).
Wyr möchten knypsen!... knypsen. Zdję-
cie...

KARPIŃSKA (*ujmująco*). Proszę...
bardzo...

KSIĄŻĘ (*wskazując krzesło*). Może
pani spocznie?

Witewitz szybko podsuwa jej krze-
sło i staje obok wgapiiony, wniebowzięty.
Podsumaj się też Rakuzki, niepogodzony
w jednej chwili. Karpińska siada.

KSIĄŻĘ (*do Ziutka, który na chwilę
przerwał i wszystko to obserwuje z miną
sztytca*). Proszę! Nie przerywaj so-
bie maestro!... My mamy bardzo mało
czasu... Zaraz kasino, potem kino... (*do
Karpińskiej*). Pani Landsman jest tak u-
przejmy, że robi tu z miejsca mój por-
tret... rapid... Schnellmalerei!

KARPIŃSKA (*uwodzająco*). A tak!
Widzę to i zazdroszczę mu.

KSIĄŻĘ (*naturalnie*). Tjaja... Wie
meenen Sie tas?... Czego? czego pani
zazdrości?

PANI LALA (*śmiało*). Tego, że mo-
że mieć już na całe życie wierną podo-
bizinę W. K. Mości... (*powlóczysto spoj-
rzała*).

Rakuzki niesłuchanie zadowolony i
szczęśliwy potakuje tylko głową.

KSIĄŻE. O, to może dostać w każdym sklepie za 5 fenigów, na postkartach!... (wskazując na Ziutka). Dopiero ten portret będzie prawdziwą niespodzianką dla naszych poddanych... Ci biedni ludzie jeszcze nie wszyscy byli w Paryżu. Nie widzieli nic futurystycznego — prymitywistycznego...

PANI LALA (westchnawszy, ze smutkiem). Ach byle tylko udał się ten szkie! byle się udał...

KSIĄŻE (majstrując coś kolo aparatu, z galanterią). A łaskawa pani już się wymyśla?... to jest pardon... wykapała się?...

PANI LALA. Do usług Waszej Książęcej Mości. Właśnie już po kąpieli...

KSIĄŻE. Soso... Schon erledigt? A my tu, widzi pani, obserwujemy sobie (wskazując na morze) ten familiarny exhibitionismus Teutonski... tak... (podnosi aparat w górę). Und wyr knypsen... Ale z pani to jabym chciał zrobić zdjęcie... po zdjęciu (delikatnie na płaszcz kąpielowy wskazał).

WITZEWITZ (z zapalem). Jaja... Selbstverständlich...

PANI LALA (z czarującą kokieteryą). Jaktó? Czyż w tym płaszczku jest mi nie do twarzy? Paryski!

KSIĄŻE OTTO (energicznie zaprzeczając). Ale skądże znowu! Ten płaszcz jest poprostu rekordowy... gigantisch schick... pieck-fein, tip top!

WITZEWITZ (pospiesznie). Tak... tak... Ale on na kliszy nie wyjdzie! To

będzie jedna szara plama... A byłoby szkoda!

RAKUZI (wtrącając się z uśmiechem oblesnym do pani Lali). Jego Książęca Mość raczej chce najmiłośniej zrobić zdjęcia stylowe... Że nad morzem jesteśmy, więc w kostymie kąpielowym.

WITZEWITZ. Ja... ja... Dworskie zdjęcie... Galowy dekol...
PANI LALA. Ależ owszem (wstaje powoli, kuszaco). Kostium kąpielowy to przecież nie nieprzyzwoitego...

KSIĄŻE (nastawiając aparat). Więc teraz sekunda spokoju! Momentalne zdjęcie... (pochylony patrzy w szybką aparat). Teraz... Eins!... Zwei...

Pani Lala zgrabnym, szybkim ruchem zrzuciła płaszcz i stanęła teraz w całej okazałości kostiumu kąpielowego, kupionego w Gdańsku w Waarenhauzie Bergsohna.
WITZEWITZ (wzruszony do Huttena). Cacao! Kikmal te Benneken!
Ziutek przestał rysować, patrzy kpiaco.
Książę Otto podnosi raptownie głowę, skrzywił się z grymasem jawnego niezadowolenia.

PANI LALA (jeszcze na wesolo, ale już niepewna siebie). Alors je suis...

Radca przerażony patrzy zdziwionemi galami to na Księcia, to na Karpińską.

KSIĄŻE (stanowczo rozczarowany, przymknął jedno oko, niby coś naprawia w zepsutym aparacie). Na, du lieber

Himmel! Herr Gott Sakrament! Ale ten kostium!... Skąd pani ma ten fatalny kostium?...

PANI LALA (zbladła, oddycha ciężko, patrzy rozszereżonemi oczyma, baka-jac). Jaktó?... Czy?... Co?...

WITZEWITZ (chcąc ratować sytuację). To jest dernière façon! dernière cri de la mode...

KSIĄŻE (krzywiąc się niemilosiernie). Na mein lieber! Dernière façon! dernière façon... mais made in Germany! made in Germany!... Pani łaskawa mi wybacz!... Ale ja już wolę w płaszcz! Damskie dessous kupować tutaj... shocking!

PANI LALA (zawstydzona, pasem oblana, trzęsąc się ze wstydu czy z zimna). Dobrze... To ja mogę... (otula się szybko płaszczem).

Radca w całkowitej desperacji. Ziutek odetchnął i rozchmurzył się, rysuje dalej.

KSIĄŻE (rozpogodził twarz). Na al-so! Schon erledigt... Daleko lepiej... Pani ma główkę tadellos!... poprostu cudowną! (fotografuje). O tak... A teraz jeszcze na prawo (komenderując) Kaput rechts schau!... Kostium jest dauerhaft aber scheusslich (otrząsnął się, z obrzydzeniem). Te czerwone wstążki!... polizei-wiedrig! barbarisch... borussisch!... Jak u nas zawsze!... Chap and nasty... Tak mówi moja rodzina angielska! (fotografuje znowu) Made in Germany! Pfui Deubel nochamal.

DCN.

Samochody

tylko bezwzględnie najlepsze, specjalnie konstruowane dla dróg naszego kraju

Francuskie „Panhard et Levassor” Paryż.
Belgijskie „Fabrique Nationale” Liège-Herstal.
Angielskie „Lanchester” Birmingham.
Amerykańskie „Case” Wisconsin.

Ceny fabryczne, stałe, dostępne dla szerszego ogółu
poleca **K. STARZYŃSKI-AUTOMOBILES** Nowy-Świat № 5, tel. 70-33 i 103-70.
UWAGA; Ci wszyscy którzy się interesują zechcą zwiedzić mój lokal wystawowy, co nie obowiązuje do kupna.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Karpińskiej
Warszawa, Moniuszki 7.
poleca: nauczycielki, freblówki, bony, sprowadza francuzki, niemki, angielski.

S. HISZPAŃSKI m. SZEWC m.
Męski i Damski
Warszawa, Krak. - Przedm. № 7.
Istnieje od 1838 roku. 9221

■ ■ ■ Gorąco polecamy
córke b. artysty
dramatycznego głuchą i cierpiącą
na rozszerzenie żył. Ofiary dla
W. S. przyjmuje nasza administracja.

Przy Szkole **M. RYCHŁOWSKIEGO**
(8-KL. GIMNAZJUM I 7-KL. SZKOŁA REALNA).
Pensjonat dla uczniów pod osobistym kierunkiem dyrektora szkoły i przy
udziale stałego pedagoga-wychowawcy. Klasy przygotowawcze dla dzieci
nieumiejących czytać od lat 7. Książęca № 4. Tel. 82-46.

**OD BÓLU GŁOWY**
NERWOMIGREN-MOTOR
W OPŁATKACH
Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.
Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.


Bryczek, Wo-lantów, Kur-sówek, Koszy-ków dwukółek wielki wy-bór gotowych, oraz fabryka przyjmuje powozy do odnowienia. Wyrabia: Kola, targo-ny, platformy i t. p. Warszawa, Szpitalna № 10 — Jamiołkowski.

Świetlenie, Telefony, Piorunochrony.
Dzwonki elektryczne. Sygnalizacje, instaluje i konserwuje
Stanisław Straus Jerozolimska 33
Biuro przeniesione z Nowego-Światu
czyni się od 1886 roku.
Filij nie posiada.

WINA **Edmund LANGNER** Kantor dla sprzedaży hurtowej: Nowo-Senatorska 8. Tel. 279-15.
Bomu Handlowego Rok założenia 1830. **WARSZAWA.** SKLEPY: { Nowo-Senatorska 10. Tel. 5-24. Pokoje gościnne 21-21.
{ Marszałkowska 80. „ 28-24.
{ Mazowiecka 1. „ 222-96. 8632